

# W CUDZYCH DOMACH



STANISŁAW KAROLEWSKI



WYZNANIA  
ANTYKWARIUSZA



Stanisław Karolewski

# W cudzych domach

Wyznania antykwariusza



**Szarlatan**

Wydawnictwo Szarlatan

Wrocław 2026

# Spis treści

Bezpłatny fragment książki „W cudzych domach. Wyznania antykwariusza”

---

|                                                     |    |
|-----------------------------------------------------|----|
| Przychodził sam lub z żoną .....                    | 4  |
| Jest tym fajnym panem od polskiego .....            | 9  |
| Mieliśmy kiedyś klienta prepersa, choć nie wiem, 11 |    |
| Został jeszcze dworzec. I fisharmonia. ....         | 12 |

W tym PDF-ie znajdą Państwo cztery miniatury spośród 104 zawartych w książce. Pełne wydanie papierowe można zamówić bezpośrednio w Antykwariacie Szarlatan.

Przychodził sam lub z żoną. Czasami z synem, jeżeli miał dużo towaru. Drobny handlarz antykami. Rozwieszał ogłoszenia na słupach. Jeśli kupił z jakiegoś domu choć jedną rzecz, latami potrafił dzwonić, przypominać się w sprawie kolejnych, które wypatrzył na ścianie lub w kredensie. Telefonował też do każdego, kto się z nim skontaktował. Nie raz pokazywał mi z dumą swój grubo wypchany karteluszkami adresownik. Wyjmował go z wewnętrznej kieszeni ekoskóry, w której zawsze chodził – niezależnie od pory roku. Pocierał palcem po brodzie okolonej trzydniowym zarostem – także zawsze takim samym, nie dłuższym, nie krótszym, lecz w sam raz. I mówił: „Żeby pan tylko wiedział, do kogo ja tu mam telefon” albo w innej wersji: „...u kogo mam umówioną wizytę”. A słowo „kogo” wypowiadał tak, że człowiek od razu wiedział: albo papież, albo car postanowił opchnąć Edkowi coś z dawnego świata. Do dziś podziwiam go za jego public relations, ja nie potrafię dzwonić, przypominać się, skamleć, czarować. U mnie: tak to tak, nie to nie. Choć pewnie i czasy się zmieniły – gdy go poznałem, kończył już trasę, do której rozbieg brał dziesiątki lat wcześniej. Znał też żulerkę z całej dzielnicy, więc jak potrzebowali się napić – a z kamienic niejedno dało się wynieść – szli do Edka.

Kiedyś przyszli i do mnie, chcąc ominąć pośrednika.

– Wiemy, że do pana Edek przychodzi. Edek się zna, pracował kiedyś w ramiarni – mówią, jakby ten

argument decydował o wszystkim. – A dzisiaj my przyszedliśmy nie do niego, ale od razu do pana.

Mają torbę pełną mosiężnych lutlamp. Któryś z nich opowiada, jak jeszcze z nich korzystał w jednym ze zlikwidowanych zakładów.

Edek rzeczywiście się znał. Wiedział, że mały obraz jest tańszy od dużego, a duża książka jest droższa od małej i cienkiej. Zawsze przychodził ze swoimi propozycjami cen, które akceptowałem albo odrzucałem, ale się z nim nie targowałem. Czasem dziwiło mnie, że nic niewartą PRL-owską encyklopedię wycenia na dwieście złotych, a poszukiwane XIX-wieczne broszury pszczelarskie...

– Te oddam panu po piątce, ale jak pan chciałby wszystkie, to po trójce. Czasem też dziwiło mnie, skąd pozyskuje tyle towaru. Potrafił przyjść kilka razy w tygodniu. Tym, czego nie sprzedał w antykwariatach, handlował w niedzielę na targowisku, gdzie swoje ceny obniżał. Zdarzyło się raz czy dwa, że ktoś przychodził z czymś, co wcześniej oferował mi Edek, oczekiwał za to jednak o wiele niższej ceny, więc chyba to, czego nie wzięli antykwariusze, wyprzedawał na placu za bezcen – byleby było na nowe zakupy. Tak również pozyskiwał nowe kontakty.

– Ogłoszenia i ulotki to jedno, a każdej niedzieli zdobywam kilka nowych adresów – mawiał.

O tej ramiarni, gdzie pracował, też mi opowiadał. To była prawda.

Najwrażliwszy był na drewno. Gdy przynosił jakiś drobny mebel albo drewnianą rzeźbę, stawał się poetą.

– Ten czerwony odcień to wiśnia, a jaka delikatna... jak kobieca skóra w dniu osiemnastych urodzin. Wisienka dziesięcioleciaми dawała ludziom owoc,

a gdy się zestarzała, wciąż zachwyca. Zupełnie odwrotnie niż u ludzi.

Czasem dzielił się też uwagami o praktycznej stronie życia. Pamiętam, jak kiedyś przyniósł całe fabryczne opakowanie kubków Porcelitu Pruszków i mówi:

– Dobrze, żeby mężczyzna miał swój kubek, można w życiu nic nie mieć swojego, nic innego, ale kubek trzeba mieć. Jeżeli pan nie ma kubka, niech pan wszystkich nie odsprzedaje, jeden sobie zachowa. Niedrogo policzę.

A potem, gdy jego myśli zaczęły krążyć wokół zawartości kubka, dodał jeszcze:

– Czasami solona słonina jest lepsza niż kiełbasa. Trzeba zjeść plaster i można cały wieczór się bawić.

Oglądając fiński nóż, który miałem w ofercie, powiedział:

– Dobry, ostry. Jak pan będzie potrzebował sprawić kurę albo zająca, to niech pan je włoży do zamrażarki i da mi znać – w godzinę się z tym uwinę. Ale jak się trafi sarna... – zdaje się, że umiał też dobrze ocenić moje umiejętności praktyczne nie tylko z zakresu patroszenia zwierząt, ale i prowadzenia auta – jak się trafi sarna, to niech pan do mnie zadzwoni od razu z drogi. Trzeba działać szybko, zanim się popsuje, a do zamrażarki nie wejdzie. Ja nastawię wrzątek i jak pan do mnie przyjedzie, to zajmujemy się nią u mnie w piwnicy. Wszystko panu wytłumaczę. A na ogródkach przy Bujwida jeden facet ma wędzarnię, zadzwonię do niego, to nic się nie popsuje. Trochę zjemy, trochę da się do lodówki i zamrażarki, a resztę się uwędzi. Może potem miesiącami wisieć. Tylko bagażnik trzeba wyłożyć folią,

bo jak wszystko przesiąknie krwią, to auto nie do odsprzedania.

Czasem popadał w stan zadumy filozoficznej nad światem. Dotykał wtedy językiem swój złoty ząb – to był jeden z ostatnich złotych zębów, jakie dane mi było oglądać, żywe świadectwo dawnych czasów – i dzielił się swoim doświadczeniem:

– Kobieta jest jak rama od obrazu, można podszpachlować i jest git. Jak się dobrze podszpachluje, to jest nawet piękniejsza od nowej.

A po chwili zadumy dodawał:

– I tańsza.

Kiedyś oprowadzając po mieście koleżankę, antykwariuszkę z innego miasta, spotkałem Edka na wrocławskim Rynku. Taszczył walizkę i kilka starych ram. Zawstydział się i wytłumaczył, że idzie do konkurencji, bo zakupy zrobił przed chwilą dosłownie kilka domów dalej, nie ma siły dźwigać do mnie, a poza tym:

– Pan przecież pustych ram nie bierze.

Szybko się pożegnałem, bo widziałem już w jego oczach, że i mojej koleżance chce udzielić lekcji życiowej mądrości.

Edkowiana – tak nazwałem rzeczy od niego i od jego żony, bo z biegiem lat widać było, jak Edek podupada na zdrowiu. Często był już tylko głosem, a żona rękami. Syn się wyprowadził i przestał już robić za tragarza. Potem Edkowa przychodziła sama, przynosiła coraz gorsze rzeczy. Zagadnałem ją kiedyś o męża, powiedziała, że leży w szpitalu. W końcu i ona przestała przychodzić.

Do dziś mam blisko dwustuletnie płótno przedstawiające sad w rozkwicie – jako średniej wielkości było

tańsze niż duży współczesny akt o wątpliwych proporcjach i kolorystyce, który pewnie trafił na plac.

Od ostatniej wizyty Edkowej minęło może z dziesięć lat, od jego – kilkanaście. Pod koniec października odebrałem telefon.

– Jest pan jeszcze na Szczytnickiej? Poznaje mnie pan?

– Jestem na Szczytnickiej, ale prawdę mówiąc, nie poznaje.

– Mówi Edek. Kiedyś często u pana bywałem.

– Tak, teraz poznaje.

– Jestem teraz w domu opieki społecznej w Łodzi, ale żona mi umarła i przywiozła mnie na grób żony. A kupiłem tu srebrną cukiernicę i kilka obrazków, malarz nazywał się A.B., może pan sprawdzić w katalogu, jest po szkole. Będzie pan w poniedziałek w firmie, mogę podejść?

– Pewnie, niech pan podejdzie. Pooglądamy.

Myślę o tym, że jak zaczął przychodzić, to był już po sześćdziesiątce. Żona była młodsza. To teraz musi mieć po osiemdziesiątce.

Nie przychodzi przez cały kolejny tydzień, a przypomina mi o nim cukiernica, którą kupuję od innego klienta. Mówię o nim Agnieszce, a ona przytomnie zauważa:

– A kiedy on do ciebie dzwonił dokładnie? To nie było w Halloween?

– Tak, było.

Edek nie przyszedł i więcej nie zadzwonił. W Halloween odbieram telefony drżącą ręką.

Jest tym fajnym panem od polskiego. Z pamięci leci Tuwimem: „Całujcie mnie wszyscy w dupę”. Nic dziwnego, że młodzież skoczyłaby za nim w ogień. Co roku przebiera się za Adama Mickiewicza, wchodzi na krzesło, opiera nogę na biurku i recytuje *Stepy akemańskie*. Na wycieczce szkolnej siada na krawężniku w oczekiwaniu na autokar i częstuje uczniów swoim fajkiem. To o takich jak on myślał Robi Williams, kreując swoją postać w *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów*.

Częściej przychodzi do konkurencji niż do nas, bo ma tam o wiele bliżej, ale dba o to, aby i do nas czasem zawitać. Zawsze zagaja albo opowie coś z humoru szkolnego.

Uczniowie za nim przepadają. Kilka razy wygrywał konkursy na nauczyciela roku, choć powtarzał im: „Jak już macie wysyłać płatne esemesy, to wyślijcie swoje zdjęcie i treść: POMAGAM”.

Jego żona była dyrektorką. Po szkole rozmawiali o szkole. Mieszkali kilka przecznic od jej budynku, w bloku z lat sześćdziesiątych. Trzy małe pokoje.

Chadzał na spotkania z poetami. Czasem też je organizował. Pisał recenzje do periodyków. Wszyscy go znali, chętnie dawali mu dedykacje na nowych tomikach. Kibicował im od początku. Dwóch nawet uczył.

Jego żona zadzwoniła do nas, bo nie lubiła zapachu sklepu konkurencji. Po jego śmierci córka kupiła jej maltańczyka, żeby się czymś zajęła. „Mąż zawsze chciał psa, ale ja się nie zgadzałam”.

Googluję go i pokazuje mi się nagranie z uroczystego apelu w szkole. Otrzymuje odznaczenie za długoletnią pracę dla kultury. Wyraźnie wzruszony wygłasza krótkie przemówienie, które zaczyna od słów: „Nigdy nie chciałem od życia tego, czego nie mogło mi dać”.

Katalogując tomiki pełne dedykacji od poetów, myślę o maltańczyku dla siebie.

Mieliśmy kiedyś klienta prepersa, choć nie wiem, czy wtedy to słowo było już używane. Taki w średnim wieku, krótko ostrzyżony, zawsze w ciuchach z demobilu i z plecakiem. Pochwalił mi się kiedyś, że wyciska trzysta pompek w ileś tam minut.

– A pan? – dodał, krytycznie obrzucając mnie spojrzeniem.

Kupował książki z różnych dziedzin – w drodze do samowystarczalności i odbudowy świata po apokalipsie – choć on twierdził, że przygotowuje się na każde ryzyko, samo słowo „apokalipsa” raczej go drażniło. Oprócz podręczników survivalu i strzelectwa brał medycynę i ziołolecznictwo, ale i rozmaite książki o rzemiośle, o gotowaniu i konserwowaniu żywności, podręczniki techniczne z zakresu konstrukcji budowlanych, podstaw elektroniki i alternatywnych źródeł energii, książki ogrodnicze i o hodowli zwierząt. Zawsze płacił gotówką, unikając wzroku wielkiego brata.

Zniknął przed końcem świata z 21 grudnia 2012 roku. Myśleliśmy, że draży bunkier w skale albo przynajmniej na stałe przeniósł się na swoją działkę, o której nieraz wspominał. Odnalazł się parę lat później. Przyszedł w cywilnym ubraniu i ruszył prosto do działu z bajeczkami. Na jego palcu błyskała obrączka. Przewidział każde ryzyko – oprócz jednego.

Został jeszcze dworzec. I fisharmonia.

– Jeździłam z tego dworca do Wiszni Małej.

Przed dworcem stoi parowóz. Parowozik właściwie, bo to wąskotorówka. Mijaliśmy go, szukając miejsca do zaparkowania. Obok – zbudowany z takiej samej mocno wypalanej cegły – kościół z dwoma wieżami przykrytymi utlenioną z czasem na zielono miedzią. Może w tym kościele – po sąsiedzku – jej ojciec grał na organach. Miedź jest zdrowa dla ludzi, bo zabija drobnoustroje, nic więc dziwnego, że dożył lat biblijnych. A jeszcze te święte księgi: kancjonał, śpiewniki kościelne i pieśni religijne. Nad wszystkim – ze szczytu szafy – czuwa święty Ludwig van Beethoven. Pewnie bluźnię, ale nie ma tam krzyża, aniola stróża ani nawet Jana Pawła II. Tylko te pieśni na chwałę Pana. Dwie sterty nut od ziemi na ponad dwa metry. Biblioteczka z przesuwными szybami, no i to popiersie. Poniemiecki breslauerski gips. Obtłuczony wprawdzie to tu, to tam, ale to raczej dobrze świadczy o stróżu – sam nadstawił karku, a raczej gipsowej peruki i kawałka nosa, by jego podopiecznemu włos z głowy nie spadł. Zresztą, gdzie miał spaść? W kościele, gdy przy olbrzymich organach wygrywał *Te Deum laudamus*, czy tu, gdy w głębi fotela przy fisharmonii chwalił Pana *Eroicą*, a nawet Moniuszką i Chopinem, którego biografię w smacznym półskórku trzymał między niemieckimi encyklopediami.

Kamienica jak się patrzy. Potężne piętra wokół kręconych schodów, tylko po dwa mieszkania na piętrze.

Tralki i zachowane fragmenty posadzki. Świetlik pod niebem. Staję i przyglądam się, któredy aniołowie wchodzili posłuchać Beethovena. Przez świetlik czy przez okna, a może jak Mikołaj – przez komin? W kacie stoi śliczny piec. Secesyjne kafle w kolorze butelkowej zieleni, a w centralnym miejscu sielska scena. Wszystko świetnie zachowane. Jak święty, a może tylko błogosławiony August Endell albo raczej jeden z jego uczniów narysował, tak stoi do dziś. Bez odłamków, uszczerbków i wylupień – widocznie i nad nim Ludwig van sprawował pieczę.

Kobiety są dwie. Córka zmarłego i jej przyjaciółka – przysłała przed chwilą, wyraźnie widać, że ma być ochroniarką. Nie odzywa się i patrzy nam na ręce, co jest trochę dziwne, bo w mieszkaniu już niewiele zostało. Odprężyła się dopiero wtedy, gdy podpisujemy umowę, a ja wypłacam umówioną kwotę. Staje się nagle rozmowna jakby zrzuciła z siebie ten ochroniarski stres. Nic dziwnego, że gipsowy biust Ludwiga milczy, a kąciki ust ma skierowane w dół. Przez chwilę rozmawiamy o jego groźnej minie – ja myślę, że to nic dziwnego, tyle lat w napięciu. Agnieszka żartuje, że teraz można to zoperować – chirurgia plastyczna przemieni największego kapryśnika w wiecznie zadowolonego instagramera.

– No, może lepiej nie – protestuje gospodyni, ale widać, że jest zadowolona, że uratujemy tego smutasa, który znika w naszej wielkiej torbie.

Aż żałuję, że nie ma już niemieckich marek – pamiętam pięciomarkową z Beethovenem – to byłby ładny psikus, wymienić Beethovena na Beethovena. Dobrze, że ten nie słucha moich myśli – na dnie naszej torby odprężył się nieco i niepotrzebna mu już żadna operacja.

# To tylko fragment książki

---

**Zamów książkę**

[szarlatan.pl/katalog/stanislaw-karolewski-w-cudzych-domach-wyznania-antykwariusza/](https://szarlatan.pl/katalog/stanislaw-karolewski-w-cudzych-domach-wyznania-antykwariusza/)



Zeskanuj kod QR, aby przejść do strony zakupu